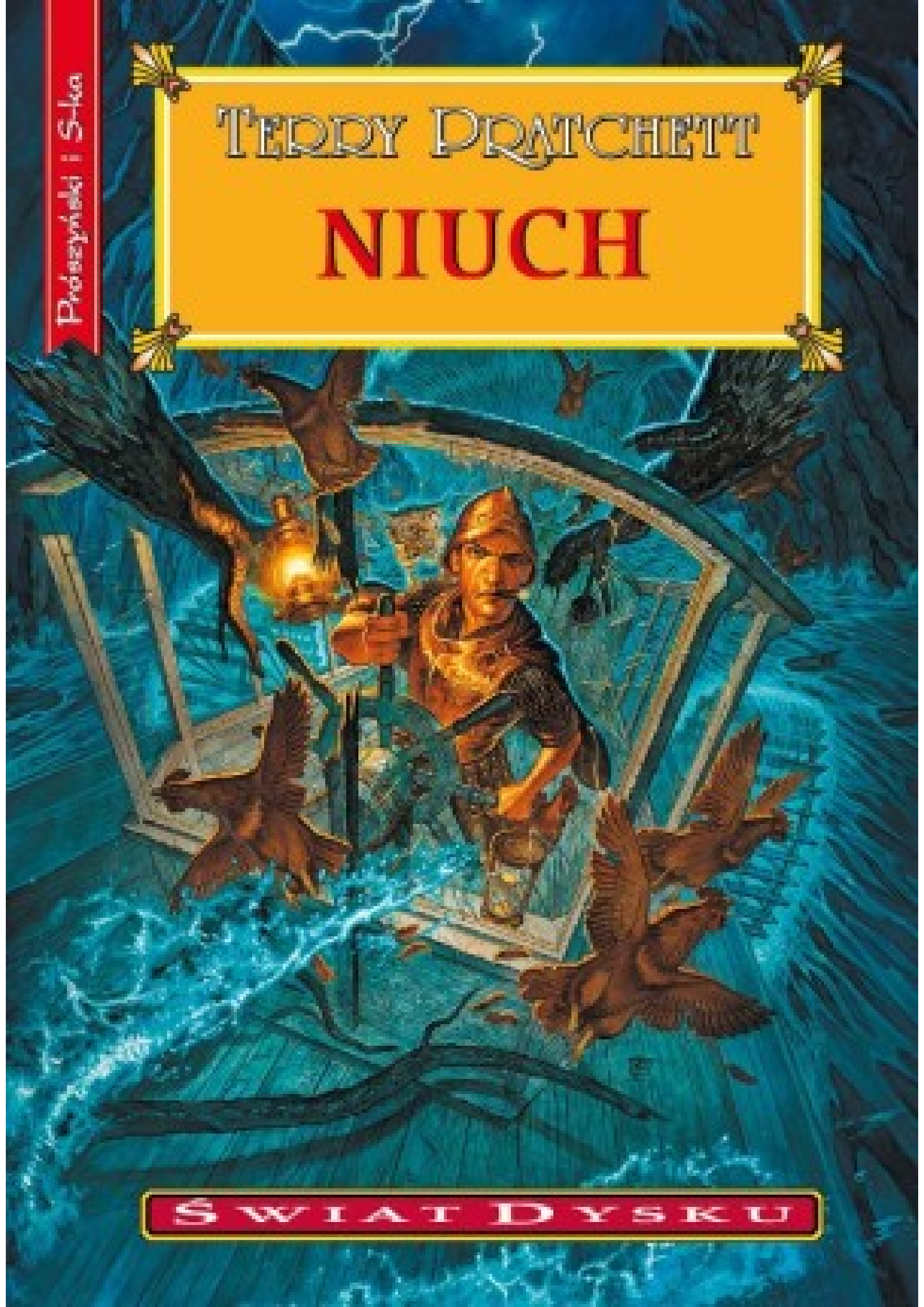


Przełożył: S. Koca

TEDDY DRATCHETT

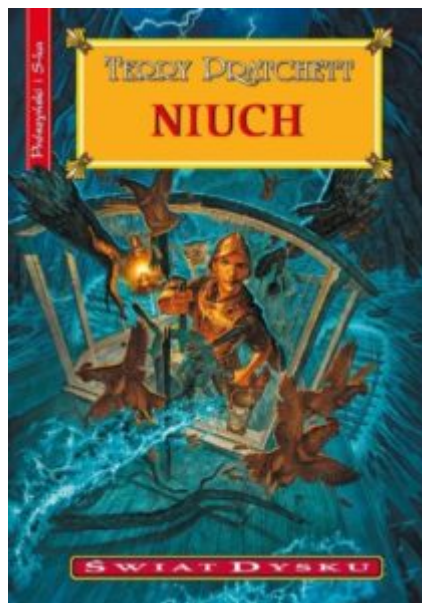
# NIUCH

ŚWIAT DYSKU



# Terry Pratchett "Niuch" (fragment 1)

*Fahrenheit Crew*



Rozdział 1

Fragment

Wizję świata w rozumieniu goblinów prezentuje unggue, ich kult czy też religia. Najkrócej – jest to niezwykle złożony system wierzeń obejmujący zmartwychwstanie, a oparty na świętości wydzielin cielesnych. Centralna doktryna mówi tyle, że wszystko, co zostaje usunięte z ciała goblina, w oczywisty sposób było kiedyś jego częścią, a zatem powinno być traktowane z szacunkiem i przechowywane tak, by we właściwym czasie można było to złożyć do grobu wraz z właścicielem. Póki ta chwila nie nadejdzie, materiał jest przechowywany w urnach ungguańskich, niezwykłych tworach, o których opowiem później. Po krótkim zastanowieniu stwierdzimy z niesmakiem, że dzieła takiego nie zdoła dokonać żadna istota, chyba że los jej nie poskąpi wielkiego bogactwa, znacznej przestrzeni magazynowej i pełnych zrozumienia sąsiadów.

Dlatego też w rzeczywistości większość goblinów przestrzega reguły zwanej Unggue Had – czegoś, co można uznać za pospolitą i swobodniejszą formę unggue – obejmującej woskowinę uszną, ścinki paznokci i smarki. Woda, ogólnie biorąc, nie jest uznawana za unggue, ale za coś, co jedynie przepływa przez ciało, nie stając się jego częścią; gobliny argumentują, że nie ma widocznej różnicy w wodzie przed i po fakcie (co źle świadczy o świeżości wody, z jakiej korzystają w swych podziemnych siedzibach). Podobnie fekalia uznawane są za jedzenie, w którym nastąpiła zmiana stanu. Co zaskakujące, zęby wcale nie interesują goblinów, które uważają je za rodzaj grzyba; nie przywiązują też żadnej wagi do włosów, zresztą – trzeba zaznaczyć – zwykle mają ich niewiele.

W tym miejscu lord Vetinari, Patrycjusz Ankh-Morpork, przerwał lekturę i zapatrzył się w pustkę. Po kilku sekundach pustkę tę przesłoniła sylwetka Drumknotta, jego sekretarza (który, co należy podkreślić, przez całą swą karierę starał się zmienić w coś możliwie podobnego do pustki).

– Wydajesz się melancholijny, panie – zauważył Drumknott, dodając do tego spostrzeżenia najdelikatniejszy znak zapytania, który stopniowo się rozwiął.

– Zalewam się łzami, Drumknott, zalewam się łzami.

Drumknott przerwał odkurzanie nieskazitelnie lśniącego, czarnego, lakierowanego blatu biurka.

- Pastor Oats pisze bardzo przekonująco, prawda?

- W samej rzeczy, Drumknott, ale kluczowy problem pozostaje niezmienny, a przedstawia się tak: człowieczeństwo może pogodzić się z krasnoludami, trollami, a nawet orkami, jakkolwiek przerażający byliby w przeszłości. A wiesz, czemu tak jest, Drumknott?

Sekretarz starannie złożył ściereczkę i spojrzał w sufit.

- Zaryzykowałbym sugestię, panie, że w ich skłonności do przemocy widzimy samych siebie.

- No brawo, Drumknott, jeszcze zrobię z ciebie cynika! Drapieżcy szanują drapieżcę, prawda? Może nawet szanują ofiary: lew może położyć się obok jagnięcia, choć zapewne tylko lew wstanie znowu, ale lew nie położy się przy szczurze. Szkodniki, Drumknott. Robactwo. Cały gatunek zredukowany do poziomu robactwa.

Vetinari ze smutkiem pokręcił głową, a zawsze czujny Drumknott zauważył, że jego lordowska mość już po raz trzeci tego dnia powrócił do stronicy zatytułowanej „Urny ungguańskie”. Zdawało się przy tym, co niezwykle, że mówi sam do siebie...

- „Tradycyjnie wykonywane są przez samego goblina z dowolnego materiału, od cennych minerałów przez skórę i drewno po kość. Wśród tych pierwszych spotyka się pojemniki o ścianach cienkich jak skorupka jaja, najwspanialsze na świecie. Plądrowanie osad goblinów przez łowców skarbów, poszukujących takich arcydzieł, oraz działania odwetowe goblinów aż do dziś stanowią podstawę ludzko-goblinich relacji”.

Lord Vetinari odchrząknął i mówił dalej:

- Raz jeszcze zacytuję pastora Oatsa, Drumknott. „Muszę stwierdzić, że gobliny żyją na krawędzi często dlatego, że zostały tam zepchnięte. Tam, gdzie nic nie przetrwa, one przetrwają. Ich powszechnym powitaniem jest, jak się zdaje, słowo hang, co znaczy »przeżyj«. Wiem, że zarzuca się im straszne zbrodnie, jednak świat nigdy nie był wobec nich łagodny. Niech będzie tu powiedziane tyle, że ci, którzy przeżywają swe życie tam, gdzie wisi ono na mniej niż włosku, rozumieją strasliwą algebrę konieczności, która nikomu nie okazuje łaski, a kiedy konieczność przyciska najmocniej, cóż, wtedy właśnie kobiety muszą wykonać ungguańską urnę zwaną duszą łez, najpiękniejszą ze wszystkich urn, rzeźbioną w małe kwiatki i zmywaną łzami”.

Drumknott, z perfekcyjnym wyczuciem czasu, postawił przed swym pracodawcą filiżankę kawy dokładnie w chwili, gdy Vetinari skończył zdanie i uniósł głowę.

- „Strasliwa algebra konieczności”, Drumknott... No cóż, dobrze wiemy, co to znaczy, prawda?

- Istotnie. A przy okazji, otrzymaliśmy list od diamentowego króla trolli, który dziękuje nam za twardą postawę w kwestii narkotyków. Gratuluję, panie.

- To żadne ustępstwo. - Vetinari lekceważąco machnął ręką. - Znasz moje stanowisko, Drumknott. Nie zamierzam zbyt mocno ograniczać prawa ludzi do przyjmowania substancji, po których czują się lepiej, czy też pewniej, albo też, skoro już o tym mowa, widzą małe tańczące fioletowe wróżki, albo nawet swojego boga, jeśli już do tego dojdzie. To w końcu ich mózgi i społeczeństwo nie ma do nich żadnych praw, pod warunkiem że w danej chwili nie kierują ciężkim sprzętem. Jednakże sprzedaż trollom narkotyków, od których głowy im fizycznie eksplodują, to zwykłe morderstwo. Karane śmiercią. Z zadowoleniem stwierdzam, że w tej kwestii komendant Vimes całkowicie się ze mną zgadza.

- Istotnie, panie. Chciałbym też przypomnieć, że już wkrótce nas opuści. Czy zamierzasz go pożegnać?

Patrycjusz pokręcił głową.

- Raczej nie. Ten człowiek żyje w straszliwym zagubieniu i obawiam się, że moja obecność tylko by pogorszyła sytuację.

- Nie obwiniaj się, panie. - W głosie Drumknotta zabrzmiała nuta współczucia. - W końcu i ty, i komendant, obaj znajdujecie się w rękach siły wyższej.

\*\*\*

Jego łaskawość diuk Ankh, sir Samuel Vimes, komendant Straży Miejskiej Ankh-Morpork, nerwowo wciskał ołówek do buta, żeby się podrapać tam, gdzie swędziało. Wszystkie jego skarpety powodowały takie swędzenie. Po raz setny już pomyślał, czy nie powiedzieć żonie, iż pośród jej wspaniałych zalet - a były liczne - nie ma, niestety, umiejętności robienia na drutach. Jednak wolałby raczej odrąbać sobie stopę, niż zrobić coś takiego. Złamałby jej serce.

Były to skarpety potworne, tak grube, pełne supełków i nierówne, że musiał kupować buty półtora raza większe od stóp. A robił tak, ponieważ Samuel Vimes, który nigdy z religijnym zamiarem nie odwiedził miejsca czci, czcił lady Sybil - i co dzień zdumiewał się faktem, iż ona wydaje się traktować go tak samo. Uczynił ją swoją żoną, a ona uczyniła go milionerem; z jej wsparciem smętny, ponury, ubogi i cyniczny glina stał się bogatym i potężnym diukiem. Udało mu się jednak zachować cynizm, a nawet zaprzęg wołów na sterydach nie zdołałby wyrwać z Sama Vimesa gliniarza - trucizna przeniknęła zbyt głęboko i owinęła się wokół kręgosłupa. I tak Sam Vimes cierpiał swędzenie i liczył swoje błogosławieństwa, aż skończyły mu się liczby.

Natomiast wśród przekleństw było to swędzenie i robota papierkowa.

Zawsze czekały jakieś papiery. Jest faktem dobrze znanym, iż wszystkie próby redukcji ilości papierów prowadzą jedynie do jej zwiększenia. Oczywiście, miał ludzi do pracy z papierami, ale prędzej czy później musiał przynajmniej je podpisać, a czasem, kiedy nie miał już innego wyjścia, nawet przeczytać. Nie było przed tym ucieczki - w ostatecznym rozrachunku, przy dowolnej policyjnej robocie istniała poważna szansa, że nawóz trafi w wiatrak. Inicjały Sama Vimesa na dokumencie były niezbędne, by poinformować świat, że to jego wiatrak, a zatem i jego nawóz.

Teraz jednak przerwał tę robotę, by przez otwarte drzwi wezwać sierżant Tyleczek, która pełniła funkcję jego ordynansa.

- Coś już jest, Cudo? - spytał z nadzieją.

- Nie w takim sensie, o jaki chyba panu chodzi, sir, ale ucieszy pana, że dostaliśmy wiadomość sekarową od Haddocka, tymczasowo pełniącego obowiązki kapitana w Quirmie, sir. Zawiadamia, że dobrze sobie tam radzi, sir, i naprawdę smakuje mu avec<sup>1</sup>.

Vimes westchnął.

- Coś jeszcze?

- Spokój jak w grobie, sir - odparła krasnoludka, wsuwając głowę przez drzwi. - To przez ten upał, sir. Za gorąco, żeby się bić, za lepko, żeby kraść. Czy to nie wspaniałe, sir?

Vimes prychnął niechętnie.

- Gdzie są policjanci, tam są przestępstwa, sierżancie. Pamiętajcie o tym.
- Tak jest, sir, pamiętam, choć brzmiałoby to lepiej, gdyby trochę przestawić słowa.
- Pewnie nie ma żadnej szansy, żeby się wykręcić?

Sierżant Tyłeczek zrobiła zatroskaną minę.

- Przykro mi, sir, ale to przesądzone. W południe kapitan Marchewa oficjalnie odbierze pańską odznakę.

Vimes walnął pięścią w stół.

- Nie zasłużyłem sobie na takie traktowanie! Całe życie poświęciłem pracy dla miasta! - wybuchnął.
- Jeśli wolno zauważyć, komendancie, zasługuje pan na wiele więcej.

Vimes oparł się na fotelu i jęknął.

- Ty też, Cudo?
- Naprawdę bardzo mi przykro, sir. Wiem, jakie to dla pana trudne.
- Żeby po tylu latach tak zwyczajnie mnie stąd wyrzucali! Błagałem, a wiesz dobrze, że takiemu człowiekowi jak ja nie przychodzi to łatwo. Błagałem!

Ktoś wchodził schodami na piętro. Cudo patrzyła, jak Vimes wyjmuje brązową kopertę, wsuwa coś do środka, liże szybko i zakleja, a potem rzuca na blat. Koperta brzęknęła.

- Proszę - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Moja odznaka, tak jak rozkazał Vetinari. Sam oddaję. Nikt nie powie, że mi ją odebrali.

Kapitan Marchewa wkroczył do gabinetu, schylając na moment głowę, kiedy przechodził przez drzwi. W rękę trzymał jakąś paczkę, a za jego plecami ustawiło się kilku wyszczerzonych radośnie policjantów.

- Proszę o wybaczenie, sir, ale siła wyższa i w ogóle. Jeśli to pana pocieszy, sir, w sumie miał pan szczęście, że wykpił się pan tylko dwoma tygodniami. Początkowo mówiła o miesiącu.

Wręczył Vimesowi pakunek.

- Zrobiliśmy z chłopakami zrzutkę, komendancie - wyjaśnił z wymuszonym uśmiechem.
- Wolałbym coś skromniejszego, jak główny funkcjonariusz albo co... - Vimes chwycił prezent. - Wiecie, tak myślałem, że jeśli pozwolę sobie nadać odpowiednio dużo tytułów, w końcu dostanę jakiś, z którym da się wytrzymać.

Rozerwał papier i wyjął bardzo małe, bardzo kolorowe wiaderko i łopatkę, ku ogólnej radości dyskretnych obserwatorów.

- Wiemy, że nie jedzie pan nad morze, komendancie, ale...

- Wolałbym nad morze - poskarżył się Vimes. - Nad morzem rozbijają się statki, nad morzem siedzą przemytnicy, nad morzem trafiają się utonięcia i inne zbrodnie! Coś ciekawego!

- Lady Sybil twierdzi, że znajdzie pan tam wiele zajęć, sir - zapewnił Marchewa.

Vimes parsknął niechętnie.

- Wyjazd na wieś... Za miasto! Wiecie, Marchewa, czemu to się nazywa „za miastem”? Bo tam już nie ma miasta! Niczego nie ma! Oprócz tych przeklętych drzew, którymi podobno mamy się przejmować, ale tak naprawdę są tylko sztywnym zielskiem! Nuda! Nic, tylko taka bardzo długa niedziela! I będę musiał się spotykać z ziemiaństwem!

- Spodoba się panu, sir. Nie pamiętam, żeby choć raz wziął pan sobie wolny dzień, chyba że był pan ranny - odparł Marchewa.

- Nawet wtedy bez przerwy się zamartwiał i gderał - odezwała się lady Sybil Vimes od drzwi.

Vimes odkrył, że wcale mu się nie podoba to, jak jego ludzie się z nią liczą. Kochał lady Sybil do szaleństwa, naturalnie, ale nie mógł nie zauważyć, że ostatnio jego kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem przestała być tradycyjną kanapką z bekonem, pomidorem i sałatą, a stała się kanapką z sałatą, pomidorem i bekonem. Oczywiście, chodziło o jego zdrowie. To przecież spisek - bo niby dlaczego nigdy nie znaleźli warzywa, które szkodzi? A niby co jest złego w sosie cebulowym? Miał w środku cebulę, tak? A człowiek miał po nim wiatry, tak? A to przecież zdrowe, prawda? Był pewien, że gdzieś o tym czytał.

Dwa tygodnie wakacji, podczas których żona będzie nadzorowała każdy posiłek... Naprawdę wolałby o tym nie myśleć, ale nie mógł się powstrzymać. W dodatku był przecież Młody Sam, który rósł jak na drożdżach i w ogóle. Wyjazd na świeże powietrze bardzo dobrze mu robi, jak stwierdziła jego matka. I nie warto było się z nią kłócić, bo nawet jeśli człowiek już myślał, że wygrał, okazywało się - drogą jakiejś magii, absolutnie niedostępnej mężom - że był dramatycznie niedoinformowany.

Przynajmniej pozwolili mu wyjechać z miasta w napierśniku. Ten pancerz stał się już nieodłączną częścią właściciela, równie poobijany jak on. Tyle że w pancerzu wgniecenia dało się wyklepać.

<sup>1</sup> System wymiany kadr z quirmską żandarmerią sprawdzał się znakomicie. Tamci uczyli się pracy policyjnej a la Vimes, a jednocześnie jedzenie w stołówce w Pseudopolis Yard poprawiło się wręcz niesamowicie dzięki kapitanowi Emile, choć używał o wiele za dużo avec.